

ZDJĘCIE Z MAŁPKĄ

Przyszedł taki dziwny i smutny czas, że pensjonaty przestały być w modzie. Zwłaszcza taki jak nasz. „Robotnik”, „Hutnik” i „Metalowiec”, a nawet „Leśnik - Drzewiarz” miały zdrowych, czerstwych wczasowiczów, ale nie „Józefa”. Ta stała pusta, smutna i jakby przygaszona. Nawet dachówka na niej wyblakła. I żeby całkiem nie popaść w ruinę czy zapomnienie, nasz pensjonat zmienił się nagle w dom kolonijny. W numerach gościnnych dostawiono drugie tyle, a nawet więcej, żelaznych łóżek, tak, że z pokoju dwuosobowego, robił się pięcio- czy sześciuosobowy. Zlikwidowano też jadalnię i wstawiono tam chyba 17 łóżek. To nie były nasze łóżka, ale jednej ze śląskich kopalń.

A potem na podwórku, gdzie kury przychodziły od sąsiadów, wkopano wysoki maszt. Miał on dwa kółka -jedno na dole, a drugie u góry - i linkę metalową. Pociągając za tę linkę, można było na górę wciągnąć wiele rzeczy, a nawet flagę. Obok masztu, z tłuczonych talerzy fajansowych i miału ceglanego, powstał orzeł biały, no powiedzmy - kremowy. Na czerwonym tle bez korony. Mozaikowa robota.

Lubiłem patrzeć na apel poranny. Koloniści w czerwonych chustach kręcili się zwawo. Odliczali kolejno, a potem do dwóch, jak karabin maszynowy. Paru zawsze było nieobecnych, bo chorowali na żołądki od zielonego agrestu i porzeczek, albo obierali ziemniaki. Bałem się tylko komendanta kolonii i niektórych wychowawców, gdy zaczynali pogadankę apelową.

- W takim miasteczku jak to, położonym tuż nad granicą, wróg imperialistyczno-burżuazyjny szczególnie nie śpi. Budzi się nocą i krąży wokół nas. Miejcie oczy i uszy otwarte. Gdyby ktoś pytał ilu was tutaj jest na kolonii, nie puszczajcie pary z gęby. Zrozumiano? - pytał żyłasty i sprężysty komendant.

Po takich przestrogach, choć nie byłem kolonistą, bałem się wieczorem zasnąć, bo gdy tylko wszedłem w sen, tuż przy brzegu zaraz pojawiali się w nim wrogowie imperialistyczno-burżuazyjni. Najczęściej byli w cylindrach i palili długie cygara. Pytali co koloniści jedzą na obiad i na śniadanie. Budziłem się zlany potem, gdy jeden z wrogów karmił mnie szpinakiem wymieszanym z dymem cygarowym.

Wracałem do rzeczywistości. Z kuchni dobiegało mnie bulgotanie i charczenie, przez które przebijalo się od czasu do czasu jakieś normalne zdanie. To ojciec z sąsiadem przy litrowej flaszce wódki słuchali „Wolnej Europy” z „Pioniera”. Okna zasłonięte były kocami, pewnie po to, żeby wróg imperialistyczno-burżuazyjny nie zobaczył i nie usłyszał, co się u nas dzieje.

Raz po apelu przyszedł wędrowny fotograf z małpką. Sprawdzone mu dokładnie papiery, zwłaszcza ta małpka, zbyt radosna, nie podobała się komendantowi kolonii. Stwierdził, że to zachodni twór, bo przecież w Polsce małpy nie żyją, a ta do tego jeszcze się podrzeźnia. *Zdjęcia* więc wisiały na włosku, ale jeden z wychowawców, który uczył biologii, wspominał coś o Darwinie.

- Darwin? To mnie przekonuje. To jest właściwa teoria! A jeszcze końcówka nazwiska jest taka swojska. Nie przymierzając jak nasz Stalin, czy Lenin - powiedział komendant i już można było robić zdjęcia z małpką.

Koloniści szaleli. Kładli małpę na ramieniu, albo i na głowie, a fotograf tylko pstrykał zadowolony i wypisywał bloczki na zdjęcia, zbierając forszę. Jeden z kolonistów ubrał małpce czerwoną chustę, ale zauważył to zawsze czujny i zwarty wychowawca Józef Wężyk i nie dopuścił do profanacji symbolu nie tylko kolonistów z „Józefy”. Wężyk - nauczyciel od wychowania fizycznego, a także ratownik kolonijny, rzucił się własnym ciałem na fotografa, tak, że ten nawet nie zdążył zdjęcia pstryknąć, a kolonista już za chwilę był spakowany i wyjeżdżał najbliższym pociągiem do domu. Ofiarność wychowawcy Wężyka została doceniona. Otrzymał w nagrodę zegarek na rękę od komendanta kolonii.

Wykorzystałem i ja pobyt wędrownego fotografa z sympatyczną małpką, więc gdy już wszyscy chętni koloniści zostali uwiecznieni na kliszy, poprosiłem o pamiątkową fotografię. Byłem bez czerwonej chusty, więc fotograf patrzył na mnie zmieszany. Obserwował też uważnie wychowawcę Wężyka, ale gdy mu wyjaśniłem, że jestem miejscowy, ochoczo zaczął mnie ustawiać do zdjęcia. Małpka jednak też wyczuwała, że coś tu nie gra i w żaden sposób nie chciała się ze mną sfotografować. Właściciel obdarował ją nawet kostką cukru, ale i to nie pomogło. Nagle podskoczyła do jednego kolonisty, wyrwała mu czerwoną chustę, którą właśnie sobie poprawiał i przybiegła do mnie. Nikt się nie śmiał, tylko ja i fotograf, ale i on szybko się opanował spoglądając na Wężyka. Groza wisiała w powietrzu. Dopiero fotografujący wziął małpkę na bok, szepnął jej coś do ucha i wszystko się uspokoiło. Ja jednak jeszcze się śmiałem. Zawsze się mogłem wytłumaczyć, że to mina do zdjęcia, więc trudno żeby była pogrzebowa. Dzisiaj, gdy patrzę na to zdjęcie, jestem z siebie dumny, bo mam na nim - mimo wszystko - choć przez chwilę roześmianą twarz.

Kolonista, któremu małpa wyrwała czerwoną chustę, miał na imię Władek. Był synem górnika. Grał na harmonii i ciekawie opowiadał o kopalni, w której pracował jego ojciec. Nawet zaprzyjaźniliśmy się i po latach odwiedziłem go na Śląsku.

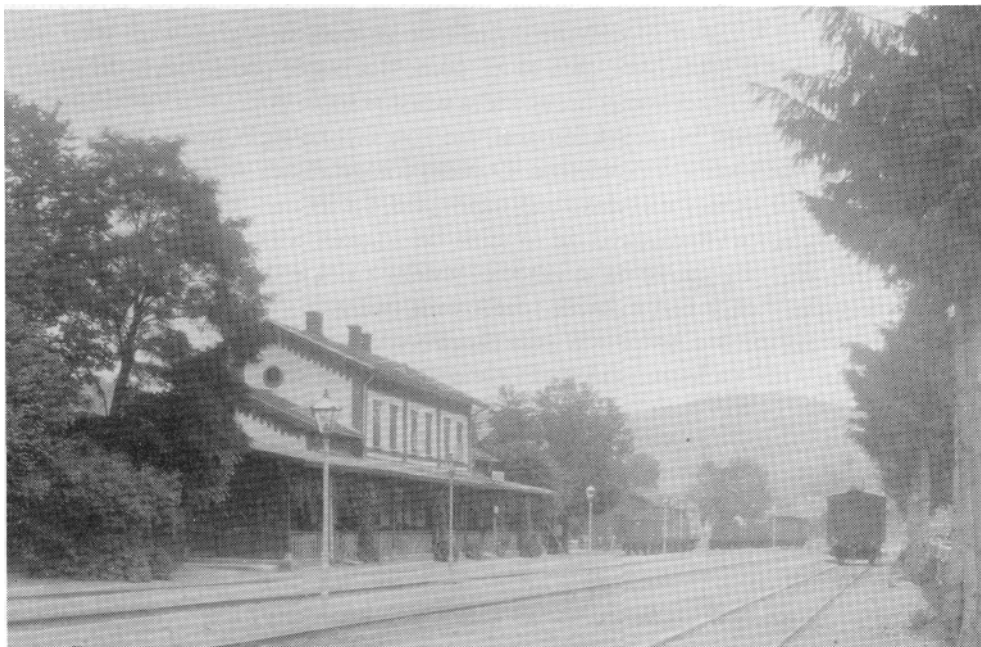
Potem wszyscy, oprócz tych dyżurujących w kuchni, poszli na stację, bo przez nasze miasteczko przejeżdżał pociąg - niespodzianka. Komendant kolonii dowiedział się o tym w tajemnicy od zawiadowcy stacji. I faktycznie pojawił się lekko zdyszany, lekko opóźniony, jak wszystko w naszym miasteczku. Pociąg ten był pełen dzieci koreańskich. Wszystkie były podobne do siebie jak dwie krople wody. Na wagonach narysowane były kredą słoneczka i kwiaty, a lokomotywa była też przystrojona i błyszczała jak nowa. Koloniści machali czerwonymi chustami, a młodzi Koreańczycy odmachiwali im w tym samym kolorze. Ktoś rzucił bukiet kwiatów, ktoś garść cukierków, lecz nie trafił do okna i odbiły się od ściany wagonu. Było radośnie i wzniosie.

Wreszcie nadeszła zielona noc. W tę noc nawet wrogowie imperialistyczno-burżuazyjni nie byli groźni. Pochowali się w mysie dziury, a nad ranem „Józefy” trudno było po prostu poznać. Na kominie stało wiadro z brudną wodą, a na dachu łóżko z Leonem - największym śpiochem kolonijnym. U rynien wisiały miednice pokryte

sadzą i miotły ryżowe. Koloniści wymalowani pastą do butów, albo do zębów, chodzili półprzytomni. Nikt nie zwracał uwagi na czerwone chusty. Komendant z wychowawcami też gdzieś znikali. Lecz koło południa wszystko wróciło do normy, nie licząc popękanych dachówek. Jeszcze tylko koloniści gwoździem lub kozikiem znaczyli swój ślad na drzwiach lub parapecie okiennym - najczęściej były to inicjały i data - 28 sierpnia 1952 rok. Potem następował odjazd kolonistów.

Babci Annie kamień spadał z serca, ale był na tyle duży, że mimo pozbycia się go, długo jeszcze chodziła pokurczona. Co rok coraz bardziej i bardziej się kurczyła. I pewnie skurczyłaby się do końca, ale umarł Józef Stalin i „Józefa” znów mogła być pensjonatem „Józefa”.

Adam Ziemianin



Na tej stacji koloniści witali pociąg pełen koreańskich dzieci w 1952 roku ...
(zdjęcie pochodzi z 1908 roku, fot. inż. F. Gisman)